

dziś gdzie urzędować, to on zbudował Collegium Novum.

Niewątpliwie, był tylko jeden taki zabór, gdzie można było robić takie kariery i być człowiekiem sukcesu. Przyznać też trzeba, że chyba po prostu mieliśmy (my Galicjanie!) do tego wrodzony talent i robiliśmy to dużo lepiej niż inni, bo na przykład jeden z Polaków był namiestnikiem Moraw, ale żaden Czech nigdy nie był namiestnikiem Galicji.

Zauważyć również należy, że ani Poznańskie, ani Kongresówka nie miały swojego „dobrego cesarza” Franciszka Józefa (za Franza to było!), który przecież do dziś pozostaje sztandarowym symbolem galicyjskości. Zapewniał on pewną ciągłość, stałość, niezmiennosc, poczucie bezpieczeństwa, którego każdy przecież potrzebuje. Ludzie rodzili się i umierali, a On wciąż przechadzał się po Schönbrunnie. Władał przecież C.K. przez nieomal sześćdziesiąt osiem lat i to właśnie okazało się jego największym sukcesem. Ponoć jego portret wciąż wisi w krakowskiej redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Kiedy Galicja przestała już istnieć, pojawiały się nieoczywiste nostalgiczne. Dochodziła do głosu tęsknota za dobrotliwym cesarzem, za ojcem narodu. Zaczęto przypominać sobie stare dobre czasy, kiedy można było ot tak pojechać nad Adriatyk,

do Triestu i Dubrownika. Wspominano, że „Do Wiednia jechało się do teatru, do Lwowa na zakupy, a do Warszawy chyba tylko po to, by stracić zegarek”. I wtedy właśnie zaczęło się tworzyć to, co dziś nazywamy mitem Galicji. Był on dla nas jakąś autoterapią, pozwalającą choć na chwilę odciąć się od trudnej przecież powojennej, a w wiele lat później PRL-owskiej rzeczywistości. Szybko wymazano z pamięci „Galicyjską Nędzę” – zresztą od początku przejawiającą, rabację, narodowościowe konflikty i I Wojnę (kto by wspominał takie okropności?). Pozostał zaś Cesarz, Cesarzowa i „piękny Lwów” (choć już nie nasz).

Co oprócz swojego mitu pozostawiła nam Galicja? Z pewnością autoironię, fakt, że do dziś Krakowianin znacznie różni się od Poznaniaka, a plotki o Poznaniakach usłyszeć można ponoć tylko w Krakowie, i to właśnie tu „najpierw rano trzeba ustalić, komu się dziś nie podaje ręki...”. Ponadto: dworce kolejowe, szyby naftowe, małe miasteczka i najlepszy w Polsce bigos, oczywiście.

W ten sposób dochodzimy do owej niesamowitości Galicji, która tak bardzo wyróżniała ją na mapie porzecznej Polski, a później stała się załącznikiem mitu. Po pewnym czasie bowiem, galicyjscy Polacy wyparli z pamięci fakt, że Austria jest zaborcą. Czuli się współtwórcami monarchii habsburskiej. I tak, czterdziestu „realistów-indywidualistów” zrobiło na wiedeńskim dworze kariery, o jakich Polakom nigdzie indziej się nie śniło. Zamiast organizować powstania, ginąć, cierpieć na dalekiej Syberii, bezskutecznie (ale za ojczyznę) wojować, przesiadywali w luksusowych gabinetach, w salonach Wiednia, współrządzając Austrię i osiągając na tym polu nie lada sukcesy, nie tylko osobiste. Do dziś na przykład, najładniejszym portretem w całym budynku parlamentu w Wiedniu jest ten Juliana Dunajewskiego – dobroczyńcy Austrii, człowieka, który zrównoważył jej skarb, a zarazem dużo działał na rzecz polskiej nauki. To dzięki niemu rektorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego mają

Łucja Olszewska – uczęszcza do Liceum im. Jana Pawła II ss. Prezentek w Rzeszowie. Lubi podróże i duże lasy, zwłaszcza iglaste.